

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



SZCZUR FARAONA.

Zdarza się nieraz, że ktoś używa niesłuzenie dobrej sławy: mają go naprzykład ludzie za pilnego, skromnego, łagodnego, a on tymczasem jest leniwy, zarozumiały i złośnik — ale że mu jest dobrze z pochwałami, więc rad ich słucha i nikogo nie wyprowadza z błędu. Bywa to zwykle tak długo, dopóki jakiś przypadek nie naprowadzi ludzi na ślad prawdziwy. Wtedy zasłona pokrywająca wady mniemanego bohatera nagle opada, a on sam okazuje się w swojej prawdziwej postaci i ci co go niedawno wynosili pod niebiosa, odwracają się od niego ze wstrętem.

Tak było z przedstawionym tu na rycinie szczurem Faraona, zwanym po łacinie *Herpestes Ichneumon*, co w tłumaczeniu dosłownem, znaczy po polsku: wytrapiacz zwierzyny. Egipcyanie czcili go jak świętego, a po zgonie balsamowali jego zwłoki i grzebali z wielką uroczystością. Opowiadano istne cuda o nadzwyczajnej zręczności tego zwierzątka, w napadaniu na rozmaite gady jadowite; wyobrażano sobie,

że się zapuszcza w gardło śpiącego krokodyla i rozdziera mu serce; że się karmi jajami tego szkodliwego potwora i przez to jest dobroczyńcą Egiptu, że wreszcie żadne ukąszenie mu nie szkodzi. Dziś jednak Egipcyanie nie wierzą już takim baśniom, przekonali się bowiem, że ten tak długo czczony dobroczyńca i bohater, jest prostym rozbójnikiem! Polują więc na niego i wziętąją bez litości, poczytując to sobie nawet za zasługę.

Bo proszę tylko posłuchać, co się pokazało. Szczur Faraona chwytą i morduje wszystko co spotka na swém drodze, wszystko czego tylko zdoła dosięgnąć: zające, kurki, szyszy, węże, jaszczurki, ptaszki, owady, robaki, nie gwałci nawet owocami roślinnymi i lubi bardzo jaja — ale nie tylko kurze i kaczki — żaden więc kurnik nie może być spokojny o swoją przyszłość, gdy ten rozbójnik jest blisko. Gdyby jeszcze zadawalał się mięsem, mniej by się bał, ale on ze zwierząt ssących i ptaków krew i mózg wybiera, a mięsem gardzi — trzeba mu więc liczby ofiar dla zaspokojenia głodu.

Powierzchność jego wcale nie pociągają dość silna, łokieć przeszło wysokości mająca, ogon przy nasadzie gruby, zakończony puszystym kosmykiem. Oczy małe, błyszczące, źrenice okrągłe, uszy krótkie, chód pelzający. Futro składa się z długim, czarnym, tworzącym miejscami pierścionki żółte. Sposób zachowania się, oraz przymioty szczura, przypominają łasicę: jest bowiem bojaźliwy, przebiegły i żarłoczny — i równie jak łasicę

przykrą woń. Trzeba mu jednak oddać sprawiedliwość, że jest dobrym ojcem rodziny. Jeżeli się wybiera gdzie w podróż, zabiera z sobą wszystkich swoich, a pochodowi temu warto się przypatrzeć. Odbywa się on w następującym porządku: naprzód posuwa się ojciec, za nim matka, za rodzicami dopiero dzieci, a wszyscy członkowie rodziny trzymają się tak blisko jeden drugiego, że zdają się tworzyć jedną ruchliwą wstęgę. Gdy szelest jaki da się słyszeć w pobliżu, ojciec będący zawsze przewodnikiem, przystaje, słucha, węszy, a nie znajdując nic podejrzanego, posuwa się dalej. Dzieci naśladują każde jego poruszenie, baczne na wszystkie czynności swego opiekuna, dając tem bezgranicznem posłuszeństwem dla rodziców, piękny przykład ludziom do naśladowania. Wierzą one i ufają, że rodzice pragną ich dobra, co znowu dzieciom ludzi nie zawsze się zdarza.

Szczur Faraona posiada jeszcze jeden przymiot godny naśladowania: jest niesłuchanie cierpliwy. Gdy sobie zdobył jaką obmyśli i upatrzy, wyczekuje na nią całemi godzinami w jednym i tem samym miejscu; dla tego też w końcu zawsze prawie zdobędzie, czego pragnie. Szakalom i wilkom zwierzątko to dzielnie się opiera; razy zadawane ostremi narzędziami znosi cierpliwie, ale trafione kulą wydaje krzyk bolesny. Zamieszkuje tylko gorące kraje starego świata: północną Afrykę, zwłaszcza Egipt i Berberyę. Przebywa na mokrych nizinach, wśród trzciny i kopie sobie nory głębokie, ale niezbyt obszerne; lubi sąsiedztwo wody a pływa zręcznie i z łatwością. Należy do rodziny Wiwerr, która budową swoją i całemi zachowaniem trzyma środek między kunami i kotami.

Zofia Urbanowska.

DO MATKI.

Z dzienniczka Janka sieroty przepisała Z. U.

Mateczko moja, źle mi tu bez ciebie:
Choć ludzie niczem nie krzywdzą sieroty,
Choć dobrem słowem raz po raz obdarzą,
Źle mi mateczko bez twojej pieśczoły.
Tu mieć cię chciałbym, lub być z tobą w niebie
gdzie teraz mieszkasz pod aniołów strażą!

na wiosnę widzę łąk kobierce
ce, stojąc nad wonnem postaniem
że kwiatki także mają serce:
en zwiędnie, drugi tęskni za nim...
zasem widzieć mi się zdarzy,
e ptaszę w powietrzu się waży,
ptaszyno! jesteś bliżej nieba,
nim posłem — w błękitne przestrzenie
nateczce mojej pozdrowienie,
tż że mi odpowiedzi trzeba...
mrok wejdzie, nim się do snu na noc
atrzę w okno czy gwiazd niema,
łbym przez nie posłać jęj dobranoc...
da mi się, że matki oczyma
ę na mnie, serce mi kołacze,
mi się że jęj twarz zobaczę...

amiętam owe dni szczęśliwe
óg twoich na stołeczku siadał,
się moich, z mych marzeń spowiadał,
miechem gładziłaś mi włosy...

Dotąd mi stoją w pamięci jak żywe,
Oczy twe szare, rozumne, łagodne,
Moje dzieciństwo szczęśliwe, swobodne,
Domek nasz, łąka, las, rumianki, wrzosy,
Głos sygnaturki i bezsenne noce,
Po których przyszły dni smutne, sieroce...

Zagaśły dla mnie dwa jasne promienie
Matecznych oczu — Bóg potężnem tchnieniem
Zgasił dwie lampki, w których się prawdziwa
Świętej miłości paliła oliwa.
I chociaż Bożej trzeba uledez woli,
Źle mi mateczko i serce mnie boli,
Że do swojego nie powrócisz syna...

Wiem, wiem co zrobię! Ból na bok odłożę,
Samotne serce dla braci otworzę,
Ludzkość mi będzie jak wielka rodzina
Co do wspólnego codzień siada stołu,
I wspólnym chlebem łamie się pospołu,
I wspólnej pracy wysnuwa przedziwo...

Choć chatka nasza zawsze będzie pusta,
Wiem już gdzie matkę znaleźć, matkę żywą:
Kłękne na ziemi i przyłożę usta
Do tęg co kryje drogie mi istoty,
Do tęg co potem naszym przesiąknęta;
Ona o dzieciach swych zawsze pamięta,
Ona przygarnia bezdomne sieroty.
Wszystkie me siły oddam, trud mój wszelki,
Dla tęg kochanej i tęg rodzicielki.

Dębowa Wola d. 4-go Lutego.

POD WPLYWEM BŁOGOSŁAWIENSTWA.

(Dalszy ciąg).

— Błady jesteś pieśniarzu nasz, tyś zmęczony jeszcze, położyć no się i śpij!.. — powiedział najstarszy czikos Pał, i zdejmując z ramion płaszcz swój bogaty, barwisty, ogromny, nakrył nim z głową Szandora, który rzeczywiście chwając się na nogach, legł na miękkiej trawie, wpół bezwiednie posłuszny jego skinieniom.

Jak okiem zajrzeć nie było w tęg okolicy budy pasterskiej, ani zaułka żadnego, nic prócz zielonej płaszczyzny równej jak stół. A któż wie kto tam nadchodził...

Krwawy rumieniec wstydu oblał bladego przed chwilą chłopca, ukrytego pod płaszczem. Ach, onże to, który przed sześciu laty przylatywał tu na karym w gościnę, pieszczonej jedynak ukochanego szanowanego ojca, on który przed chwilą jeszcze marzył o tronie pieśniarskim i z gwiazd koronie, i chwale niezgasłej... on jako nędzny zbieg leży teraz drżąc, ukryty pod płaszczem pasterskim? Pędząc w świat pod wpływem gwałtownych wzruszeń, chłopiec ani pomyślał że koń go poniesie w pobliże stron rodzinnych, i że tak ojciec jak i władza szkolna, prawdopodobnie szukać go zechcą. Teraz dopiero stanął mu w oczach ojciec, a to tem bardziej że Marcha spotkana mogła go o synu powiadomić. A jeżeli to ojciec nadchodzi w istocie? Ten ojciec zawsze surowy acz kochający głęboko, ten ojciec który w przekonaniu że tylko na jednej drożynie syn jego znajdzie szczęście, zmuszał go iść tą drogą koniecznie?... Chłopiec nie rozumował, ale czuł że jeżeli usłyszy głos ojca, to niepotrafi wytrwać w ukryciu, pewno rzuci mu się do nóg, a wtedy, ten ojciec taki gwałtowny, czyliż nie wymówi w gniewnem uniesieniu strasznych jakich wyrazów... wyrazów, których sam pożałuje może później, on który już pod błogosławieństwem rozkazywał?... — Śmiertelny dreszcz wstrząsnął na tęg myśl nieszczęśliwym

zbiegiem i nagle, ściśnięte jakby zimną szponą serce, zamarło z bólu... ciężar jakiś przygniótł je jak głaz...

— Pysio tu!.. pilnuj!.. pilnuj! Nie daj ruszyć! — mówił jednocześnie Pal do nieodstępnego, białego jak śnieg pieska, wskazując mu swój płaszcz bogaty, porzucony niedbale na trawie, pod którym maleńka zawsze drobna postać chłopca, zginęła jak pod stogiem siana. Pysio, zwany tak pieczołtliwie z racji pyszczka a raczej paszczy, zaopatrzonej w trzy całow straszliwe zęby i tak ogromny a silny że wszystkie wilki okoliczne drżały i uciekały przed nim, skinął głową mądrze jakby mówiąc:

— Rozumiem...—i położył się na płaszczu. Z pomiędzy uciekających koni, z pod kopyt nieledwie, wysunęła się nieduża chuda postać, o czarnych jak kruk, roztarganych włosach, czarnych ognistych oczach, ciemnej pomarszczonej twarzy, odziana w płachtę czerwona, bystro spoglądając dokoła:

— A!... to ta wiedźma cygańska tu leżesz; nie darmo tak się konie płoszą, jakby niedobrego ducha poczuły... ot jak uszami strzygą!... — mówili czikosi.

— Możesz ty głodna, Marcha?... W takim razie rozgrzej sobie na węglach gulaszu i jedz: oto jest gulasz w kociołku... A co ty tu robisz?

— Życzliwym darem nigdy gardzić nie trzeba — odrzekła cyganka, żwawo zabierając się do grzania pożywniej potrawy. — Za gościnność powiem wam nowinę...

— Byle dobrą!... Ale gdzie tam takie jak ty lichy co dobrego przynieść może!

— A właśnie że na ten raz coś dobrego dowiecie się odemnie — zachichotała Marcha. — Oto Petofi ze stepowej czardy przy świadkach ogłosił, że da dwie pary wołów swoich temu, kto mu doniesie o synu ze szkół zbiegłym...

— Dwie pary wołów!...

— A! cóż myślicie? Co staremu ojcu po całym majątku, bez syna? A ten syn nie chce iść przez świat z błogosławieństwem ojcowskim, wyłamał się z pod niego! Uciekł ze szkół. No, ktoby co o nim wiedział, może zarobić dwie pary wołów!... Albo zła nowina? He? Hi hi hi!...

Nastąpiła chwila milczenia. A potem, nakończywszy świeżą fajkę wódz pasterzy czikos Pal, rzekł poważnym, stanowczym głosem:

— Nie, złośliwa Marcho, to nie jest dobra nowina, bo dzieci nie powinny spierać się z rodzicielską wolą, to zła nowina gdy jest na świecie inaczej. I dla tego gdybym ja, albo inny czikos spotkał zbiegłego Szandora przed chwilą, i wiedział że on przed spełnieniem woli ojcowskiej ucieka, tobym go był wziął pod pachę i odwiózł ojcu staremu do czardy. A no teraz już żaden z nas tego nie zrobi. Zrobić nie może.

— Nie może?... Czemu?...

— A to temu, że lichy ciebie tutaj z twoją nowiną przyniosło; nie próżno się konie płoszyły: czikos żaden na świecie nie będzie donosić i zdradzać za dwie pary, ani za dziesięć par wołów!

— Żaden póki czikosa stanie! — powtórzyli inni.

— Ej to głupstwo z przeproszeniem waszem, moi panowie; zaś co głupstwo to głupstwo, a co wół to wół!... — odparła żwawo jak zwykle cyganka, kręcąc się tu i ówdzie przy ustawianiu na boku naczynia, z którego smaczny gulasz jaśniał, a wtem ozwało się głucho warknięcie i cyganka krzyknęła przeraźliwie:

— Zgiń, przepadnij!...—i cała torba klątw szkaradnych sypała się z jej ust z czysto cygańską gadatliwością, a ona piszcząc tupiała przytem z bólu...

— Dobrze ci tak, złe lichy!... po co ruszasz mój płaszcz?... — rzekł na to Pal najspokojniej pykając z fajeczki i nie odwracając się nawet. Seb, bracie, idź tam poproś Pysia żeby czarownicę puścił i odpędź ją od mego płaszczu.

Kilku czikosów, śmiejąc się, podeszło do krzyczącej w niebogłoty cyganki, która z kawałkiem mięsa w jednej ręce, trzymała drugą skraj płaszczu Palowego, a Pysio zamiast za tamtą rękę z mięsem, chwyciwszy za tę z płaszczem, trzymał ją, wpijając w nią zęby ogromne z głuchem mručeniem.

— Dobry Pysio! Mądry Pysio! A czegoś to ty chciała od Palowego płaszczu, cyganko. Ha ha!... — śmieli się czikosi pieszcząc Pysia i odpędzając Marchę.

Pies zadowolony machał ogonem jak wachlarzem, poszczekując za uchodzącą:

— Hap hap!... a wynoście się ztąd prędkiej! — gdy zaś odeszła, brytan żywo zawrócił się do płaszczu i jednym szarpnięciem potężnej łapy odrzucił poję na bok:

— Hap hap!... spojrzycie na ludzie na dzieciaka!... — wszyscy spojrzeli i skoczyli ku niemu:

— Co to? Nieżywy? Nie, zasłabł tylko. Dawajcie wody i wina!

W chwilę później Szandor z ciężkiem westchnieniem wrócił do życia.

— Pal, to nie był mój ojciec?

— Nie; była Marcha, więc twój ojciec zaraz się dowie gdzie jesteś, bo obiecał dwie pary wołów za wieści o tobie, a Marcha szpieguje...

— Trzeba mi iść do Bakony, zostanę kanaszem, ale uczciwym, tam mię nikt nie znajdzie.

— Iść nie można boć jesteś słaby, jechać możemy choćby zaraz, już jak ja tam słówko powiem, będziesz miał tylu przyjaciół ilu kanaszów jest w lesie. Ale... nie lepiejby było z ojcowskim błogosławieństwem przez świat iść? Uczyc się?...

Szandor zalał się łzami:

— Pal, bracie!... gdyby ciebie bez żadnej winy porwano ztąd z puszy i zamknięto w więzieniu na piętnaście lat?... pasterz koni zadrżał:

— Umarłbym albo uciek! — zawołał obrzucając wzrokiem step swój rodzinny.

— Tak i ja zrobiłem, przez pięć lat umierałem, a teraz uciekłem. Ukłękłem przed ojcem już nieraz i prosiłem żeby mi pozwolił tak żyć jak on sam żyje, matka prosiła za mną; on nie chciał.

— No, ale przebyłeś już pięć lat, może i te dziesięć przebędziesz jeszcze?

— A potem?... na puszczie nie potrzeba inżynierów ani prawników, gdy jednym lub drugim zostanę, muszę ciągle w wielkich miastach przebywać i pracować po to aby duże pieniądze zarabiał... nie zobaczę więc puszy rdzonej. O, nie myśl że ja uczyc się nie chcę, uczyłbym się chętnie, ale nie na inżyniera ani na prawnika; w puszczie mi trzeba żyć i pieśni śpiewać, choćby dniem i nocą pracować przytem. A co ja winien że mi takie serce Pan Bóg dał?

— Otóż to!... To jest prawda. Bo i na co zresztą zdało się życie nie na puszczie! Słuchaj, ani wątpić że ojciec twój przyjedzie tu po ciebie za wskazówką Marchy, tylko go patrzeć, otóż wtedy poprosimy go jeszcze raz, aby ci pozwolił żyć wedle serca twego... przecież i u niego słowo moje coś znaczy!... upadniesz mu do nóg...

Szandor złożył ręce modlitewnie, blednąc jak chusta.

— Daj pokój bracie! — poszeptał — zmiłuj się daj pokój! Nie znasz ty mego ojca: gwałtowny jest jak ogień; matka zawsze ostrzega, żeby mu się w chwili gniewu nie nawijać na oczy; będzie potem sam żałował, będzie się gryzł, będzie rozpaczał, ale wprzódy w uniesieniu gniewu nie wstrzyma się... Już mi pod błogosławieństwem przykazywał posłuszeństwo, a nuż teraz ujrawszy nieposłusznego powie... złe słowo!...

Czikosi syknęli... „Złe słowo” rodzicielskie to straszna rzecz; niema odeń cięższej na świecie, i za światem podobno...

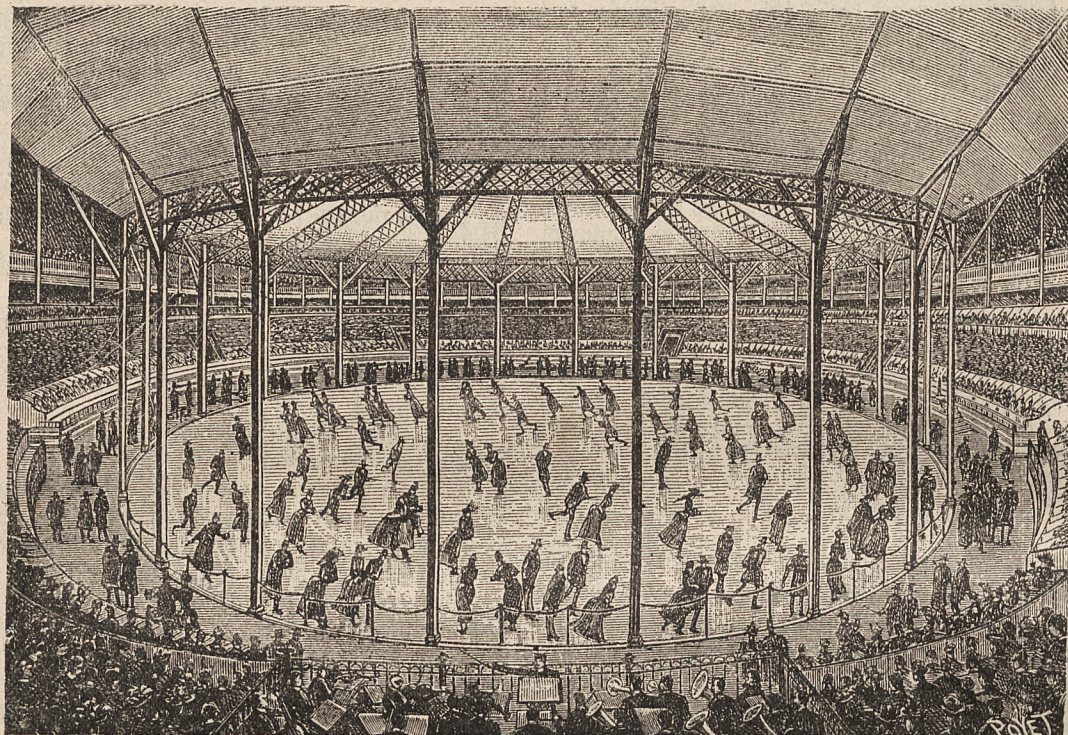
— Kiedy tak — rzecze Pal — lepiej nie pokazywać mu się na oczy, a tymczasem może jego zapalczliwość przeminie i matka go ułagodzi. Zatem do Bakony jechać trzeba.

V.

W ogromnym jarze, rozpadlinie dwóch wzgórz, w gęstwinie dębowej, niby w sercu potężnego lasu, spoczywało naokoło wielkiego ogniska kilku strojnych i mocno uzbrojo-

nych kanaszów. Straszliwe wasy nierzadko pozakładane aż za uszy, aby na dół nie opadły, półłokciowe noże u pasa, piękna broń palna, oprócz błyszczących czekanów, odróżniały ich od pospolitych spokojnych ludzi. Jeden mieszał w kotle zawieszonym na żelaznych widełkach z boku ogniska. Wszyscy palili fajki. Wielka „skatora” fiasza drewniana z winem krążyła zwolna pomiędzy nimi. Jeden tylko cały błyszczący w blasku ognia ozdobami barankowego dolmana, z ogromnym pękiem powiewnych wstęg u kapelusza, spał opodal pod dębem, leżąc w malowniczej postawie, na przepysznym wyszywonym bogatym płaszczu, para doskonałych pistoletów nabijanych srebrem, błyszczała mu za kosztownym pasem. Inni spoglądając na niego pełnym uwielbienia wzrokiem, rozmawiali półgłosem.

konia, inni otoczyli ich i pojechano do miasta. Trzeba było jednak przystanąć w czardzie na popas. Tedy prosił Sobri żeby dano mu własnego wina, które miał w drewnianej fiaszy w kieszeni, równie jak tytuń, pił, palił i częstował jednem i drugim pandurów, aby wiedzieli co dobre. Jedno i drugie pyszne było. Konie jadły tymczasem. Ale gdy ruszono w drogę, ludziom świat się w oczach jał kręcić, a konie szaleć zaczęły, tak że aż kilka poniosło i z drogi okrutnie się zbito. Gdy zaś po jakimś czasie dziwne te czary minęły, i świat i konie wróciły do rozsądku, a pandury zaczęły oglądać się i zbierać, to pokazało się że brakło tego, który z Sobrim jechał, no i Sobrego i ich konia oczywiście. Rozbieżno się szukać i nie napróżno: leżał pandur w kałuży przydrożnej trochę senny niby, tylko Sobrego i konia nie było.



Ślizgawka w Paryżu.

— Onegdaj schwytyany i powieszony do miasta, sam jeden wśród dziesięciu pandurów uzbrojonych, a dziś już znowu jest z nami!... To już chyba on jeden na świecie, jeden tylko Sobri potrafi! I jak on tego dokazał! Podobno przed sześciu laty coś podobnego zrobił, od takiej sztuki zawód rozpoczął.

— Dziś rano byłem ze świnkami na jarmarku; o nim nie mówili ludzie tylko o tem. Ale nikt nie wie prawdy. Powiadają że okropnie się pokochał Sobri z pandurem tym starszym Saghy, co tu jest niedawno i który wraz ze swym oddziałem go ujął. Pandur ciągle przeproszał Sobrego że z obowiązku swego musiał z nim walczyć i ująć go gdy się udało. A Sobri zaręczał że żadnego żalu doń niema, gdyż każdy obowiązki swe pełnić powinien; toż i Sobri nie byłby się dostał pandurom; gdyby z obowiązku wodza nie bronił i nie zasłaniał naszego odwrotu, sam przeciw dwudziestu. Potem związanego tego Sobrego wsadzono wraz z jednym pandurem na koń, przywiązano mocno do pandura i do

— Ha ha ha! — zaśmieli się słuchacze i opowiadający, a jednocześnie kędyś w gęstwinach boru w oddaleniu ozwała się sowa płaczem dziecięcym.

— Bacność!... — zawołał nagle śpiący dowódzca. Rozbójnicy zerwali się na równe nogi, gotowi do walki. Smutny głos puszczyka ozwał się w lesie po swojemu.

— Pandury! — mruknął Sobri.

Puszczyk ozwał się z przeciwnéj strony.

— I tam pandury!...

Sowa zachichotała znowu w oddaleniu.

— Jeszcze pandury!... idą z trzech stron!

— A gdzie to więcej naszych?... — szepnął jeden z „chłopców”.

— Dowódzca musi wiedzieć...

W chwili gdy pierwszy płacz sowy rozlegał się w tej części lasu, dwóch jeźdźców wjeżdżało właśnie w ciemną gęstwinę, z jasno oświetlonéj pełnią księżycową bezdennéj

sce, zbudowany w zachwycającym położeniu. Góry niebieskie zarosłe kasztanami w niższych sferach, wznosiły się przed nim w oddaleniu. W głębi doliny, jezioro odzwierciedlało blaski niebios w pośród łąk bogatych. Na jednej z nich właśnie mieszkańcy zajęci byli koszeniem trawnika, ażeby urządzić go odpowiednio do wyścigów i różnych zabaw, które nazajutrz miały się tu odbywać. Nikt w miasteczku nie miał do sprzedania zwierząt, jakich potrzebował Melchior, ale dowiedział się że o kilka mil drogi ztamtąd, w górach, mieszkał obywatel pewien, wielki miłośnik zwierząt, który może mu ich dostarczyć.

Przed samym zachodem słońca, pułkownik ukazał się na gościńcu; jechał wolno, bo koń jego obciążony był zdobyczą. Sześciu dzikich indyków, antylopa i cały długi sznur nawiązanych pstrągów łososiowego smaku, wisały mu u siodła. Z tyłu za nim było coś jeszcze, coś nakształt wiązki królików lub wiewiórek; ale gdy jeździec dojechał do furtki ogrodowej, wiązka ta zeskoczyła na ziemię. Było to Dyabłątko czyli Dannito.

— Powiedziałem wam, że schwycę tę krowę! — zawołał, spostrzegłszy rządę — tak powiedziałem; przegoniłem ją dwa razy, ale to się na nic nie zdało, ją trzeba schwycić na *lasso*. Jest tam kawał surowca na drabinie, czekajcie ten będzie doskonały! — dodał i popędził do stajni.

— Ile ma lat ten chłopak? — spytał kapitan.

— Nie całe ośm — odpowiedział pułkownik, ale bardziej dowodzi w wiosce sam jeden, niż wszyscy indyjscy chłopcy razem, jeżeli to potrwa, wkrótce trzeba go będzie nazwać jeszcze gorzej niż teraz go zowią... nie Dyabłątkiem, ale już całym dyabłem...

Święta Bożego Narodzenia rozpoczynały się nazajutrz, tak wrzawliwie jak jeszcze nigdy nie zdarzyło się widzieć naszym wędrowcom. Przeciagały jedna za drugą muzyki, w których główną rolę odgrywały kociołki i rądle; tańczono na wszystkie strony; strzelano, huśtawki i różne zabawy roiły się wszędzie.

Tomka zajęła szczególniej gra jedna, której nigdy nie widział wprzód. Stawia się na ziemi spora skrzynka, z otworem okrągłym w wierzchu; wszyscy grający wkładają weń z kolei, ten ananas, ten banan, kto inny placek lub garść orzechów i t. p. wreszcie sam właściciel skrzynki wkłada tuzin pomarańcz, z których jedna naznaczona jest gwiazdką. Dzieci z oczami zawiązanymi, zanurzają po kolei ręce w skrzynię, chwytając co zdołają; kto schwyci pomarańczę znaczoną, zabiera wszystko. Można się domyśleć co tam jest wrzawy, śmiechu i krzyku przy takim poławie.

Następnego poranku po lekkim śniadaniu, kapitan puścił się w podróż do domku obywatela, którego mu wskazano z Indyaninem wioskowym za przewodnika i małym Dannito w charakterze dojeżdźacza.

Dziecko towarzyszyło wędrowcom, w szlachetnym rycerskim zamiarze bronienia ich przed niedźwiedziami w górach, a także z zamiarem chwytania wszystkich dzikich krów, jakże tylko napotka. Dannito zaopatrzył się aż w dwa *lassa* i pewien był, że żadna mu nie ujdzie.

— A to śmieszny kraj! — zawołał — zobaczyłem krokodyla, a gdy go chciałem złapać, wskoczył na drzewo jak strzała!

— Wskoczył na drzewo, krokodyl! To być nie może! — zawołał Melchior.

— Ale tak! doprawdy! jest blisko, zaraz go wam pokażę.

Zaprowadził kapitana do stóp wielkiej mimozy w pobliżu i palcem wskazując jedną z najwyższych gałęzi wołał:

— Otóż jest tam jeszcze, widzisz go?

— Alligator! — krzyknął Tomek.

— Alligator nie, ale najprostszy iguan — rzekł Menito. Tak było wistocie; iguan, rodzaj gadu podobnego do jaszczurki, ale do jaszczurki olbrzymiej, bo ma około metra i dwudziestu pięciu centymetrów długości; ogon niezmiernie długi i giętki wił się około gałęzi, a palce rozdzielone i opa-

trzone szponami czepiały się pnia, na który jaszczurka ta wdzierzała się chyżo.

Młody Meksykanin zaczął rzucać kamyczki na płaza, który wnet zeskoczył na ziemię i chciał uciekać ku łące a kasztan rzucił się go ścigać. Schwycił go, ale mu ułamał kawałek ogona; jednakże był to zawsze ładny okaz w swoim rodzaju, zamknięto go więc w klatce drucianej. W tejże chwili zwierzę podobne do czarnego lisa, ukazało się skacząc pomiędzy skałami. Spozrzęgszy wędrowców, skoczyło na jodłę w pół odartą na brzegu wąwozu.

— To czarna wiewiórka! największa jaką kiedykolwiek widziałem. Pożycz mi swój strzelby kapitanie! — zawołał przewodnik, zwracając się do Melchiora.

— Zabić ją? czyż nie ma sposobu dostać żywcem? — zapytał Tomek.

— Ja dostanę — rzekł Menito, wchodząc na drzewo. Czując się ściganą, wiewiórka skoczyła na gałąź wyciągniętą nad wąwozem stanowiącym przepaść na kilkaset stóp głęboką, doszedłszy do krańca tej gałęzi, zwierzątko zwróciło się ku ścigającemu jakby ciskając mu wyzwanie i poczęło gładzić sobie futerko. Dopiero ujrawszy małego Meksykanina tuż przy sobie i pewnego zdobyczy, przestało swój roboty i od niechcenia skoczyło w przepaść. Przeleciało wywracając koziolki tuż koło nosów osłupiałych widzów, którzy poskoczywszy na brzeg przepaści, ujrzeli w jej głębi zgrabne to stworzonko siedzące znów na skale i gładzące najspokojniej swe futerko.

— No i cóż? wymknęła ci się zwierzyna? — rzekł śmiejąc się Tomek, gdy Menito zszedł z drzewa.

— Bah, mam ja za to coś jeszcze lepszego! — odpowiedział chłopak. — Z tamtąd z wysoka wypatrzyłem gniazdo harpij, dostanę się doń łatwo, pójdź to ci je pokażę.

— Harpie? co to jest? — zapytał Tomek.

— Jest to rodzaj ptaków drapieżnych z rodziny orłów, ale jeszcze większe, mają dzioby i szpony jeszcze straszniejsze. Napastują częstokroć nawet spore zwierzęta, jak młode jelenie, barany...

W tej właśnie chwili jeden z ptaków, o których mówił Menito, z wysokości skały wzniósł się w powietrze i zaczął krążyć nad głowami wędrowców, wydając dzikie wrzaski i opisując szerokie koła, już wznosząc się, już spuszczać, jakby dla czynienia tem dokładniejszych nad niemi spostrzeżeń. Oni po pierwszej chwili zdziwienia, schwycili za strzelby, a gdy straszny orzeł widocznie zamierzał ich napastować, dwa strzały huknęły. Ptak zatrzymał się w locie i bijąc skrzydłami, spadł pomiędzy skały. Kasztan już pędził ku niemu, ale kapitan odwołał psa, aby nie rozszarpał ptaka.

— Jest to przepyszny okaz harpii — rzekł — posłę to do Vera Cruz, i tam go wypchają.

Tymczasem Dannito zaglądał do głębi przepaści i zabierał się już spuszczać tam, gdzie orzeł gniazdo swe umieścił. Był to występ skalisty z boku potężnej skały, a dostać się doń można było jedynie po wązkim, niby gziemiu, wystającym nad przepaścią prawie. Na sam widok taki można dostać zawrotu głowy; ale dziecko ani pomyślało o tem, już zsuwało się po spadzistości, gdy Menito schwytał go za rękę.

— Ja chcę gniazda! — krzyczał Dannito. — Ja chcę! ja pójdę po gniazdo!

— Nie, ja sam pójdę! — odpowiedział młody Meksykanin, puszczając się w tę samą ptasią prawie drogę, której dopiero co zabronił dziecku. Kapitan wstrzymywał tymczasem gwałtem malca, a ten tupał obiema nogami z gniewu, szarpał się i usiłował rzucić się na Menita, jakkolwiek miejsce do bójki nie dobrze byłoby obranem na owych gziemach skalistych.

Reszta podróżnych ścigali niespokojnemi wejrzeniami niebezpieczne przedsięwzięcie małego towarzysza. Dostał się tuż ponad gniazdo bronione przez matkę orlicę. Pisklęta były już silne, i nie obeszło się bez kilku potężnych uderzeń dziobem, zanim chłopak cudem zręczności i zimnej krwi, zdołał dostawszy się do nich, schwycić dwoje. Przyniósł je Melchiorowi z słusznym tryumfem.

— A te czy warte choć dolara? — zapytał przypominając mu tem awanturę z rysiątkami, które wziął za małe pumy.

— Niewątpliwie — odpowiedział kapitan oglądając ptaki. — Są już prawie zupełnie dorosłe. Teraz idź zabierz zabitego orła, musimy go przygotować, aby się zachował dobrze aż do Vera Kruz.

Menito poszedł i ujął orła za szyję, ale zaledwie go podniósł, gdy ptak ożył, szarpnął się gwałtownie i zanim mógł kto podążyć z pomocą, rozwinął skrzydła i uderzył na chłopca.

Menito biedaczek nie miał nawet kawałka kija na swą obronę, tylko kapelusz wielki z palmowych liści, i tym zasłaniając się jak tarczą, cofał się krok za krokiem ustępując z placu. Nagle ptak rozpędziwszy się, rzucił się na niego z taką siłą, że byłby go niechybnie przewrócił, gdyby chłopiec nie ukląkł. Wtedy chcąc schwycić nieprzyjaciela za głowę, ptak zagłębił szpony na wskroś w kapeluszu i walka mogła się była skończyć bardzo nieszczęśliwie, gdyby Melchior nie nadbiegł z pomocą. Natenczas orzeł uleciał wraz z kapeluszem, unosząc go jako trofeum zwycięzkie, ale nie poleciał daleko, rany jego odezwały się; przez chwilę bijąc gwałtownie skrzydłami, spadł o jakie sto stóp niżej od wyżyny, z której podróznicy śledzili go wzrokiem. Zrywał się jeszcze i szarpał przez chwilę, nareszcie żyć przestał.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Mozaika z piór. W Meksyku panuje zwyczaj rozsyłania na Nowy Rok kart z powinszowaniem zrobionych z mozaiki z piór, a przedstawiającej ptaki lub kwiaty z niezwykłą wiernością. Karty te są pozostałością uprawianej niegdyś z upodobaniem i rozwiniętej bardzo sztuki starych Meksykańczyków, Tolteków, Azteków i t. d. Artysci, którzy sztukę tę uprawiali, nazywali się Amanteka. Wówczas wyobrażano prawie wszystkie twory przyrody i nadawano im barwę za pomocą kolorowych piór takich ptaków, jak kolibry, papugi i t. d., które chwymano w siatki, lub za pomocą lepu, aby piór nie uszkodzić. Za podkładkę do obrazu służyła materyja z liści agawy, na którą naklejony był cienki arkusz lepkiej bawełny. Jeden artysta robił szkic do obrazu, a inni wykonywali go częściami. Pióra wybierano drobnymi szczytkami i nalepiano na podkładkę, jedno nad drugim, stosownie do koloru przez wzór oznaczonego. Gdy wszystkie części całości były skończone, porównywano je z wzorami, poprawiano błędy, przymocowywano na płycie z drzewa cyprysowego, lub miedzi, wygładzano i obraz był gotów. Te mozaiki z piór budziły w epoce podboju podziw Hiszpanów i innych europejczyków. Później uprawiano sztukę ową szczególnie w Patzenaro, w Stanie Michoacau, obecnie zaś jest już prawie całkiem zaniedbaną i wspomniane karty noworoczne są jedynemi jej śladami.

ZADANIE ALCHEMICZNE.

ułożył Alchemik,

Mam ja tutaj trzy ciała: *krzem, potas, ołów*,
Lecz że wszystkie niestety niewielkiej wartości,
Więc musiałem je badać nie szczędząc mozołów
I ot jakich w ich wnętrzu odnalazłem gości.

TREŚĆ: Szczer Faraona p. Z. U. (z drzew.) — Do matki, z dzienniczka Janka sieroty przepisała Z. U. — Pod wpływem błogosławieństwa (c. d.) — Ślizgawka (z drzew.) — Poszukiwacze dzikich zwierząt (c. d.) — Rozmaitości. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Smutna przygoda Stasia (z drzew.) — Dwaj ślepcy, (bajka) p. Ewę Maryę. — Zajączki, p. Maryą Weryho. — Przygody Wicusia, p. Annę Załęską. — Zabawa arytmetyczna. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Szesnastoletni wojewoda, powieść p. Michalinę Zielińską.

Najprzód więc słodki przysmak, dały głoski cztery,
Trzy cząstkę ubioru, zaimek dwie litery.
Ale co najważniejsze, że dopiąłem celu,
Do którego dążyło próżno mędrców wielu.

Pierwszy w takich to ciałach, jak krzem, potas, ołów
Odkryłem najcenniejszy kruszec nad kruszcami.
Toż to sława nielada i nielada połów —
Ale dość już wyrzekłem, resztę znajdziecie sami.

Łamigłówka kryształowa.

od Meduzy Sidonii dla Królowej Wrózek.

1. Spółgłoska.
2. Ptak.
3. Miasteczko w gub. kaliskiej.
4. Imię żeńskie zdrobniałe.
5.
6. Imię żeńskie.
7. Miasteczko w gub. mińskiej.
8. Organ wzroku.
9. Samogłoska.

Rząd środkowy i litery środkowe utworzą nazwisko znanego polskiego kompozytora.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go

Szarady:

Po — ko — le — nie.

Łamigłówki trójkątnej:

Maurycy Jokaj
Arystoteles.
Urszulanki
Richelieu
Yarmouth
Czczot
Yankes
Jozue
Olmo
Kan
Ah
J

Rebusa:

Bezpiecznie myszy biegają, gdy kota w domu nie mają.

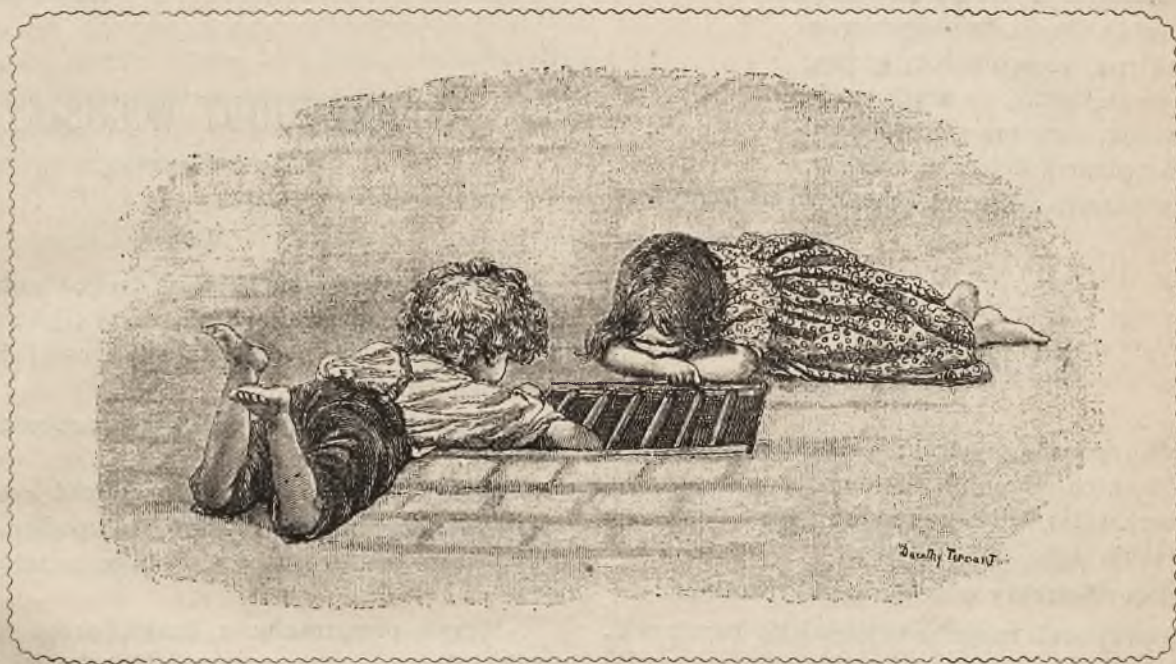
Smutna przygoda Stasia. X

Mały Staś czuł się w istocie bardzo szczęśliwym. Pierwszy raz w życiu posiadał swoje własne pieniądze, aż całą, srebrną złotówkę!... Nie dalej jak przed godziną siedział smutny pod murem kamienicy, rozmyślając o swój chorą matkę, która leży tam na poddaszu, i nic dziś jeszcze od rana nie miała w ustach, gdy oto obok, otwierają się drzwi sklepu i jakaś bogato ubrana pani, wychodzi zeń, trzymając w ręku dość duże pudełko. — Widocznie zdecydowała się najpierw sama je zabrać

cał i łapał, wysliznął mu się z ręki i upadł z dźwiękiem na kamienny chodnik i potoczył się wprost ku otwartej kracie kanału. Jeszcze raz błysnął w słońcu i zniknął w ciemnym otworze.. Stasiowi pociemniało w oczach, ale wnet oprzytomniał i rzucił się ku kracie. Oboje z Marysią położyli się na ziemi, zagłądali, kładli ręce do środka, ale prócz ciemnego głębokiego otworu nic widać nie było...

— O mój Boże — zawołał z płaczem — nie kupię już nic dla mamy, ona taka głodna!..

Zdawało mu się pogrążonemu w rozpacz że nikt



Smutna przygoda Stasia.

ale wyszedłszy na ulicę zmieniła postanowienie, bo nagle przystępując do niego zapytała:

— Mój mały, nie mógłbyś zanieść za mną tę paczkę? mieszkam niedaleko.

Staś zerwał się gotów jej usłużyć, wziął pudełko, które zresztą nie było wcale ciężkie i w niedługim czasie stanęła przed drzwiami mieszkania.

Pani odebrała paczkę, zajrzała do portmonetki i dała mu „za fatywę” złotówkę. Chłopcu zaiskrzyły się oczy; wcale nie myślał o pieniądzech niosąc sprawunek za tą panią, ale teraz stanęła mu w myśli głodna i chora matka. Śpiesznie więc podziękował i wyszedłszy z bramy pobiegł pędem ku domowi. O mój Boże! co za radość, kupi za to matkę chleba i mleka, choć raz przyjdzie jej z pomocą! jakie szczęście!... W drodze spotkał siostrę Marysię. Opowiedział jej swoją przygodę i biegli razem dalej podrzucając w górę srebrną monetę, która w słońcu błyszczała jak nowa. Aż nagle chłopiec stanął osłupiały. Pieniądz który dotąd zrzęcznie podru-

go nie widzi i nie słyszy, to też zdziwiony podniósł oczy kiedy na swem ramieniu poczuł czyjąś rękę.

— A co ci to chłopcze, czego płaczesz? — zapytał równocześnie jakiś miły staruszek.

Staś ze łzami opowiedział mu wszystko i jakaż była jego radość, skoro ten dobry stary pan, po wysłuchaniu opowiadania, wydobył taką samą złotówkę i dając mu powiedział:

— Widzę że z ciebie dobry chłopiec, kiedy mając pieniądze chciałeś je użyć dla chorej matki, tylko źle bardzo żeś taki nieostrożny. Masz dobrą nauczkę na przyszłość i pamiętaj to sobie zawsze moje dziecko, że pieniędzmi bawić się nie należy.

Staś ucałował z wdzięcznością ręce starca, schował uważnie złotówkę do kieszonki i pobiegł uradowany ku domowi.

Odtąd wiedział jak ostrożnie trzeba obchodzić się z pieniędzmi.

DWAJ ŚLEPCE.

BAJKA.

Raz, nawpół ociemniały,
 Żebrek zgłodniały,
 Smagany wiatrem z burzą, ulewą,
 Ciężko włókł nogi,
 A zszedłszy z drogi,
 Napotkał drzewo;
 Choć kijem mierzył,
 Głowę uderzył
 I wraz podskoczył,
 Aż się zatoczył.

Jaś, który stał przy oknie z daleka,
 Śmiał się z potknięcia starego człeka:
 Śmiać się w tym razie?... to wielka wina!
 Za lekkomyślny był ów chłopczyzna.
 Więc ojciec rzekł do niego surowo:
 „Kto ślepy, często nałoży głowę;
 Lecz gorzej temu, co zdąży prościęj,
 Ma wzrok, a nie ma serca, litości!
 Kogo nędzarza dola nie wruszy,
 Ten większym ślepcem!... ciemnym na duszy”.

Ewa Marya.

ZAJĄCZKI.

Był sobie raz mały zajączek; miał tatusia, mamusię i był bardzo do nich podobny. Futerko miał szare, tak jak tatuś, cztery nóżki, dwie z przodu i dwie z tyłu, a na głowie uszki takie duże, duże stojące.

Zajączki te mieszkaly w dołku pod krzaczkiem.

Rodzice przynosili zajączkowi kapustki, marchewki, trawki i dużo innych rzeczy, a on wszystko to zjadał i bardzo mu smakowało. Czasem wychodził na spacer na łąkę. Wtedy się cieszył, skakał, chował się pod krzaczkami, to znów biegł za tatusiem i szukał trawki soczystej.

Znudziło się raz zajączkowi biegać po tych samych miejscach; pomyślał sobie: pójdę na tę górkę, tam pewno jest ładniej i trawka smaczniejsza. I poszedł.

Skakał bardzo prędko, to też zaraz był już na pagórku. -- Nic tam jednak nie znalazł prócz zeszlęj trawy i piasku, pobiegł w jedną, w drugą stronę i postanowił wracać.

— Puszczę się z góry! — myślał sobie.

Skoczył raz, skoczył drugi — fyr! — przewrócił się, prędko łapkami otrząpał główkę i znów skoczył, i znów wywrócił koziółka.

— Co to jest? — myśli sobie — czemu zejść nie mogę z tej góry; tak dobrze umiem skakać po łące, a tu się ciągle przewracam. No, ale teraz to się utrzymam, a polecę co tchu!

Wyciągnął się jak długi i skoczył. Aż tu wywrócił takiego koziółka że stoczył się na sam dół pagórka. Biedaczek pokaleczył sobie główkę, nóżki i wstać nie mógł.

Tymczasem mamusia wszędzie synka szukała i nic nie wiedziała, co się z nim stało? Aż tu widzi, że leży pokaleczony. Zmartwiła się bardzo, zaczęła go lizać i pieścić.

Zajączek opowiedział jak pobiegł na górę i jak z góry w żaden sposób zejść nie mógł.

— To dla tego, synku — mówiła mamusia — że masz tylne nóżki bardzo długie, a przednie krótkie. Ani ja, ani twój tatuś nie biegamy na górę, bo nam tylne nogi zawadzają.

Mały zajączek wysunął jedną nóżkę, obejrzał, wysunął drugą i naprawdę przekonał się że są nierówne, przednie krótkie a tylne dłuższe.

— O,—pomyślał,—to już i ja nie będę nigdy biegał po górach, wolę po łące skakać.

I od tego czasu pozostał zawsze na równej łące, pod krzaczkami.

Maryja Weryho.

PRZYGODY WICUSIA.

P. ANNEŻ ZAŁĘSKĄ.

VI.

Zawsze pewny siebie nasz drugoklasista, wysunął się na środek sadzawki, a zwróciwszy się ku ławce, gdzie siedziała Halinka, pędził ku niej z całej siły, wołając: z drogi! z drogi!

Wiele osób stanęło półkolem, przypatrując się widowisku.

W największym rozpędzie, Wicusz z zachęcającym okrzykiem hop! hop! — skoczył — i upadł na ziemię prędej jeszcze niż wyrzucona w górę uczniowska czapczka.

Krzyk przestraszu z ławki, przed którą Wicusz upadł, i długa szydercza gama śmiechu widzów, wybuchły razem. Adaś skoczył na pomoc, ale szło to z trudnością, bo Wicusz rozbił się silnie.

— Ach biedny Wicusiu! poco było tak skakać — mówiła Halinka ze łzami żalu w błękitnych oczach — ja temu wszystkiemu winna jestem, przez moje nierozważne słowa. Musiałeś się bardzo uderzyć. Usiądź no tu przy mnie.

Ale Wicusz w żaden sposób usiąść nie mógł, trzymał się ręką za stłuczone miejsce, a miną nadrabiał, nie chcąc, żeby się domyśliła jak bardzo go boli.

— Pójdziemy już chyba do domu — rzekł Adaś po chwili kłopotliwego milczenia — bo nawet nie wiem, czyby Wicusz mógł dziś jeszcze się ślizgać.

— Ciekawym, dla czego by nie? — zawołał Wicusz dzielnie, starając się ukryć bolesne wykrzywienie twarzy; — chyba że ty się czujesz zmęczony po twoich wspaniałych popisach — dodał złośliwie.

Dobra Halinka, spostrzegłszy początek sprzeczeki — powiedziała. — Wy róbcie co chcecie — ja już wracam do domu. Ale mam nadzieję, że się tu znów niezadługo spotkamy — rzekła do Wicusia z miłym uśmiechem, a odchodząc już z mamą: — Jak cię noga przestanie boleć — dodała ze zwykłą paniąkom delikatnością.

Uprzejme te słowa pogodziły, pokłóconego ze światem i samym sobą Wicusia; bo przez zazdrość narażić siebie na śmieszność, być wyśmianym przez wszystkich, żalowanym przez Halinkę i nie móżdż nawet powiedzieć, co go boli, to przykro, to bardzo przykro!

VII.

W parę dni po owój nieszczęśliwej ślizgawce, Wicus zapomniał już o swem niepowodzeniu, bo całą uwagę jego zajęły zbliżające się święta Bożego Narodzenia.

— Dopiero to będzie rozkosz — myślał sobie chłopczyzna — Józia będzie obierać rodzenki i migdały, ja będę jęj pomagać, mama upiecze baby i ciasta, późnięj wigilia, choinka, podarunki; ach co to za szczęście, że te kochane święta już tak blisko!

Ostatnie dni nauki traktował Wicus niedbale, mówiąc, że powinien już być „rozpuszczony”, tylko panom profesorom żal rozstawać się z uczniami tak wczesnie, i jeżeli uczy się jeszcze trochę, to z łaski, bo przecież na tydzień przed świętami można już nic nie robić. Zkąd Wicus przyszedł do tego przekonania, nie wiemy; ale on w swe słowa wierzył niezachwianie.

Nadszedł nareszcie szczęśliwy dzień rozdania cenzur i rozpuszczenia uczniów; Wicus wrócił do domu z miną tryumfującą, bo przeciw wszelkim przewidywaniom stopnie miał dość dobre.

— A co — mówił radośnie — już ja wiedziałem że tak będzie. A co!

Najbardziej jednak w zachwytyt wprawiało go zamięszanie, jakie zastał w domu, z powodu przygotowań świątecznych. W kuchni przesiewano mąkę i cukier, ustawiano niecki i dużą dzieżkę, w których ciasto miało się wyrabiać i rosnać, i z ryb pod okiem mamy przyrządzano różne potrawy. Ale najwspanialszy widok przedstawiał się oczom Wicusia w jadalnym pokoju. W jednym rogu stała na wpół ubrana choinka, na kredensie leżał stos jabłek, orzechów i różnych dobrych rzeczy, dopiero co przyniesionych ze sklepu, których Józia jeszcze nie zdążyła schować. Przy stole w olbrzymim białym fartuszk, Józia z minką poważną, wybierała rodzenki na jeden półmisek; obok stał drugi, pełny migdałów, już bez łupinek i donica z utartym makiem.

— Dzień dobry wam migdały, rodzynki i Józiu, jak się macie! — zawołał Wicus, zrzucając z siebie szynel i czapkę. — Tak ładnie wyglądacie, szczególnięj migdały, że aż ślinka do ust idzie — to mówiąc bez ceremonii chwycił ich pełną garść.

— Tylko ostróźnie, mój Wicusiu — prosiła Józia, spoglądając na brata z trwogą i niezadowoleniem.

— O nie bój się, nic mi nie zaszkodzą; jakaś ty troskliwa! — zaśmiał się chłopczyk, zawierając bliższą znajomość ze wszystkiem, co mu się pod rękę nasuwało. — zobaczę tylko, co tu jest i zaraz ci pójdę pomagać.

Nie wiem, czy Józia była zadowolona z tęg obietnicy, ale może i tak, bo zmuadne obieranie lepiących się rodzenków znudziło ją już trochę. W każdym razie dość długo jeszcze czekała na pomoc Wicusia. Gdy w końcu usiadł przy nięj, usta miał zapełnione różnego gatunku

bakaliami, a z kieszeni wyglądały czerwone jabłka; Wicus był przezorny.

(d. c. n.)

ZABAWA ARYTMETYCZNA.

Pomyślaną liczbę kazać pomnożyć przez 3, do tego dodać 1, następnie pomnożyć znowu przez 3 i dodać pomyślaną liczbę. Od tęg liczby ogólnęj odciągnąć 3 i podzielić przez 10.

Przykład:

Przypuśćmy, że ktoś pomyśli liczbę $7 \times 3 = 21 + 1 = 22 \times 3 = 66 +$ pomyślaną liczbę $7 = 73 - 3 = 70$ 70 podzielić przez 10 = 7.

ZADANIE KONIKOWE.

(Ułożył Kameleon).

Table with 3 columns and 4 rows containing letters: w, Pań, bo, gie, ro, zdro, jest, u, ska, cho, go, ba.

Handwritten notes: Panisko, choroba, jest, zdrowie, ubogiej

Odczytać przysłowie.

HOMONIM.

Pierwsze stwierdza posiadanie Drugie-trzecie — na śniadanie Smaczne bardzo. W liter rządzie Trzeci-z pierwszym rzeka będzie, Któręj wody w Rosyi płyną. Wszystko: małą jest maszyną.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 10-go.

ŁamigłóWKi kryształóWęj:

Word search grid with letters K, O, S, M, U, C, H, A, E, L, N, W, E, S, P, A, Z, I, A, N, K, O, C, H, A, N, O, W, S, K, I, T, A, R, N, O, W, S, K, I, S, E, K, W, A, N, A, S, O, S, N, A, O, K, O, I

Homonimu:

C z a j k a.

Skrzynka do listów.

Słowa **Ukrainki na Mazowszu** uradowały nas serdecznie i serdecznie za nie wdzięczni jesteśmy. Nie żal pracować dla tych, którzy tak cel pracy naszej pojmują. Pierwsza z wymienionych przez nią osób, jest korespondentką, o którą pyta kochana nasza Ukrainka.

P. Annie Gor... w Selicach. Wieczory wraz z dodatkami już posłano wedle życzenia pani pod zeszłorocznym adresem. Należność nie pilna, może być przysłaną później.

Odezwa każdego z naszych czytelników jest nam bardzo miłą, czemu więc **Rycerz błękitny** czuł się tak onieśmielonym? Łamigłówa dobrze ułożona, będzie umieszczoną niezadługo.

Bardzo nas cieszy, droga **Kulko śniegowa**, że ci się tak podobają umieszczone w naszym piśmku powieści. Co do „Księżniczki” zgadzamy się z tobą, że charakter rodziny Radliców są niepospolicie zacne i szlachetne; ale dla czego powiadasz, że „prawie nigdy” nie trafiają się takie? Powieść jest obrazem życia, a zatem i wzory z życia brać sobie musi. Gołąbka wytłumaczy się zapewne w przyszłym numerze...

Ofiarę **Srebrnej Topolki** oddano na szpitalik. Dowodzi ona dobrego serduszka, tak jak pamięć o „zwyyczajach Redakcyi” dowodzi delikatności uczuć którą cenić umiemy.

Omyliłaś się, kochana **Biała Akacyo**, Gołąbka *nie była* cicią L. J. i nie „odfrunęła do Monachium”. Dla czego cię sąd siostry zniechęcił? Jeżeli jest słuszny, cóż łatwiejszego jak zrobić wskazane poprawki i wypracowanie na konkurs nadesłać? Czyżby panienka nie znosiła krytyki?

Zajączkowi z Wołynia posłaliśmy żądany numer.

Łezko z nad Lutyni, chętnie zadość uczynimy twój prośbie, ale... musisz czekać na swoje kolęj.

Tę samą odpowiedź dajemy **Burzliwej Naturze**.

Jad. Ger. przysłała dobre rozwiązanie.

Nie ty tylko jedna, **Ir. Jar.** skarżysz się na „brak czasu” do czytania. Wieczory stanowią dla was tylko rozrywkę... miło nam wszakże się dowiedzieć, że takowa tak jest pożądana.

Kochany **Książę Geniuszów**, tak ujmująco prosisz o przebaczenie, że choćbyś się nawet gniewali za omyłkę, rozbroiłbyś nas zupełnie. Nie gniemy się wszakże, bo i niema też za co... Łamigłówek, szarad, zagadek mamy zapasy ogromne; najwłaściwszą dla tych ostatnich formą jest proza. Przysyłać je trzeba na osobnej karteczce.

Stefusiowi M. żądane numeru posłano.

Braciszkom Gosposi z nad Pilicy zasyłały serdeczne podziękowania w imieniu biednych dzieci.

Jakże nam miłą jest radość twoja **Złota Przędzo**, z powodu otrzymanej nagrody. Zachowaj jak najdłużej dziewczątko drogie, to pogodne usposobienie, które ci pozwala cieszyć się każdym promykiem słoneczka i nie naśladować... trzynastoletnich „powag”. Przyjdzie jeszcze czas na powagę!

Kochana wesoła **Krakowianeczko!** Ucieszyłam się bardzo, przeczytawszy w kochanych naszych „Wieczorach Rodziny”, że pragniesz mieć korespondentkę. Śpieszę też dać ci się poznać. Na imię mi Zosia, mam siostrzyczkę i dużego brata w Gdańsku, uczę się zemną razem kuzynka także Zosia. Mieszkam na wsi pod Włocławkiem. Mamusia na gwiazdkę zaprenumerowała nam „Wieczory” więc się ucieszyłam że mogę z kimś korespondować i niecierpliwie będę oczekiwała twój odpowiedzi. *Wesoła Krakowianka.*

Miluchny **Poranku majowy**, **Biała Ostróżko**, i cicha **Wodo**. Przepraszam cię stokrotnie śliczny **Poraneczku**, że tak długo nie odpisywałam. Oddawna już pokochałam wszystkie nasze siostrzyczki, pragnę tylko ich wzajemności. Proszę nie oddawaj wet za wet, i odpisz mi niedługo. Luba **Biała Ostróżko** pokochałam cię za pamięć o biednych. Chciałabym pisywać także do ciebie, cicha **Wo-**

do, bo wiem jak przykro nie mieć odpowiedzi. Całuje was po tysiąc razy *Kopciuszek.*

Gwiazdzie i Gwiazdeczce posyłam uściśnienia.

Drogi Ben-ali-beju! Zaciekawia cię mój pseudonym, nazywam się „**Wilkiem stepowym**” po pierwsze, że jestem podobny do wilka z charakteru, powtóre że mieszkałem w stepach chersońskich. Chciałbym korespondować z tobą, ale przygotowuję się do III-jej klasy realnej szkoły, więc mało mam wolnego czasu. Dziś zmieniam mój pseudonym dla tego, że nie chcę być podobnym do dzikiego zwierza i że przenieśliśmy się do Odessy. Teraz zaś lubię bardzo jeździć na łyżwach i nieźle już się ślizgam piszę się więc: *Żyźwiarzem Odeskim.*

Witam was siostrzyczki drogie i wzywam do korespondencji. Pod pseudonymami waszemi poznaję kilka moich dobrych znajomych, może i mnie poznacie i zechcecie do mnie pisywać, n. p. ty **Biała Perelko.** *Rybka z Hniliopaty.*

Najmilsza moja **Jedlinko**, jestem nową prenumeratorką „**Wieczorów**”, przeto pierwsza piszę liścik do ciebie, bo podobałaś mi się bardzo. Jestem w twoim wieku na imię mi **Marya** mieszkam pod Radomiem. Odpisz na mój list, o co cię bardzo prosi i oczekuje odpowiedzi *Kukuleczka.*

Kochana **Wesoła Krakowianko**. Przez sympatyę dla twój nazwy i że również pobierasz nauki w domu, chcę cię poznać i korespondować z tobą. Mieszkam w Proskirowie, na imię mi **Kazia** i uczę się w domu. *Blondynka podolska.*

Miła **Trawko stepowa!** Liścik twój wielką mi sprawił przyjemność. Gubię się w domysłach co to za **Trawka** odzywa się do mnie z dalekich stepów. Domes mi proszę jak ci na imię i dla czego do mnie i do **Stokrotki** najpierw napisałaś? Ścisza cię serdecznie *Sasanka z Mazowieckich lasów.*

Kochana **zwinna Wiewióreczko!** Podobasz mi się bardzo z opisu, również jak i twój pseudonym. Miałabym ochotę z tobą korespondować, w maju skończę lat 10, lecz zdaje mi się że mogę pisywać do ciebie. Wiem, że ci na imię **Wanda**, a gdzie mieszkasz? Ściszam cię serdecznie *Polka z nad Szczary.*

Drogi czytelniczki! Jestem nową prenumeratorką „**Wieczorów**”, które mi się bardzo podobały. Pragnę więc kochane, choć nieznanne panienki pisywać do was. Proszę której z was aby mi doniosła ile ma lat i gdzie mieszka? ja mam lat 13, należę więc do starszych i mieszkam w Warszawie. Mam nadzieję, że która z was zechce mi odpisać. *Cyganeczka.*

Odebrawszy twą odezwę zbyt późno, nie mogłam wykonać zamiaru twego, miła **Ostróżko biała**. Gałązko **Heliotropu** ucieszyłaś mię bardzo twym liścikiem, więc będziemy do siebie pisywać? **Wesoła Krakowianko**, czy zechcesz być moją przyjaciółką? Jesteśmy jednolatki **złota moja Gamo C-dur**, nosimy imię **Wereszczakówny**, więc może będziemy z sobą korespondowały? Całuję was wszystkie, *Poranek majowy.*

Rusałkę z Dzimitry i **Akacyę białą** ściszam serdecznie.

Kochana **Śnieżna Jagódka!** Bardzo mi się podobał twój pseudonym. Mnie na imię **Olga**, mam lat 11. Napisz mi czy zechcesz do mnie pisywać przez kochane „**Wieczory**”. Co ci się najłepiej w nich podoba? Ścisza cię nieznaną, lecz kochającą *Cyganeczka z Dobrzelina.*

Droga Makolągwo! Daruj że ci tak późno odpisuję, bo trzeba ci wiedzieć że równie jak moje siostry chorowałam na influencję. Teraz uczymy się żeby nagrodzić czas stracony, ja z **Tolą** biorę przytem lekcye tańca, co także czas zabiera. Ściszam cię serdecznie, bo „**Wieczory**” nie chcą przyjąć dłuższej korespondencji. Twoja *Różyczka chińska.*

Tola was ścisza także.

Wielką przyjemność zrobiłaś mi swoim listem kochana **Żabciu z nad Horynia**. Nie nazywam się **Andzia** tylko **Adzia**, czyli **Jadzia**. Ucałuj odemnie twego **braciszka Łobuza**, a sama przyjm serdeczne uściśnienia od szarej **Kotki**, która zmienia pseudonym i będzie się nazywać *Wołyńska Pszeniczka.*